Janina Łagoda

Jesteśmy świadkami tego, że w procesie karnym wyrokuje się o historii, przyporządkowując jej fragmenty określonym artykułom kodeksu karnego. W ten to właśnie kręty labirynt wkroczyła prokuratura Instytutu Pamięci Narodowej (IPN) oraz zespół sędziowski wyrokujący w dwuinstancyjnym trybie o odpowiedzialności gen. Czesława Kiszczaka za współudział w wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce w grudniu 1981 roku.

Stan wojenny w sądzie

W dniu 25 czerwca 2015 roku Sąd Apelacyjny w Warszawie ogłosił wyrok w procesie o stan wojenny. Skazany został tylko jeden z wielu wcześniej oskarżonych. Werdykt, jak na rzekomą komunistyczną zbrodnię, mimo medialnego wrzasku o tragizmie dla narodu tamtego czynu, nie powala (dwa lata kryminału w zawieszeniu na tyle samo lat). Trafił jednak na rozdroża zarówno fachowych prawniczych rozważań, jak i społecznych opinii. Wpisuje się też w euforyczne myślenie o ćwierćwieczu tzw. wolności, lekceważąc tę wcześniejszą daną nam z woli wielkich aliantów. Zaściankowymi kombinacjami nie przykryjemy tego dziejowego faktu, jak i tego, że dzisiejszy rozdział naszej niezależności, to też sprawstwo dziedziców Wielkiej Trójki.
Odżyła klasyczna dyskusja o zasadności wprowadzenia stanu wojennego. Odczucia rodaków w zasadzie są podzielone. Jest tyle zwolenników, co i przeciwników tamtego rozwiązania z tendencją kroczącą ku aprobacie sposobu realizacji ówczesnej polskiej racji stanu wpisanej w geopolityczne uwarunkowania.
Procesowe wyrokowanie o relatywnie nieodległych czasach jest przedsięwzięciem nader odważnym, ale i ryzykownym, bo dla sprawiedliwego werdyktu konieczne jest uwzględnienie wszelkich możliwych konotacji, wypełniających tamten czas i indywidualne ich przypisanie każdemu podsądnemu. Dla zespołu orzekającego zadanie to niełatwe, zwłaszcza kiedy na ławie oskarżonych raptem ostał się tylko jeden wiekowy i schorowany człowiek, któremu trudno zarzucić brak spolegliwości i patriotyzmu, ale – wedle sądu – stał się odpowiedzialnym za wszelakie zło stanu wojennego. Był jednym z wielu i to wcale nie najważniejszym w ówczesnym układzie rządzącym. Stąd może i ten nader łaskawy, ale kontrowersyjny wyrok w kontekście zbrodni przeciwko narodowi. W końcu po latach wypadało skazać kogoś żywego i to nie za zbrodnię komunistyczną, ale za przestępstwo pospolite o gangsterskich znamionach. Wszystko po to, aby dać satysfakcję, prokuratorom IPN i pozbawić naturalnej szansy na kasację wyroku (zawieszenie wykonania kary). Nie o taką sprawiedliwość idzie, bo między gilotyną zarezerwowaną dla zbrodni a niewinnością przedział ogromny, zaś ważenie odpowiedzialności to umiejętność tylko nielicznych.
Wysoki sąd, jak i IPN-owscy prokuratorzy nie zdobyli się na przekonywującą refleksję o tym, w jakim teraz punkcie własnych biogramów byliby sami i reszta społeczeństwa, gdyby nie współudział podsądnego w tamtej rzekomo mafijnej grupie przestępczej. Może nie zafundowaliby sobie i nam aż tak górnolotnej i zarazem nieodgadnionej kwalifikacji czynu. Jest to zdaje się osobliwe rozwiązanie w prawniczej kazuistyce: potraktowanie rządzących, jako grupy przestępczej, mimo że posiadała parlamentarne umocowanie i międzynarodowe uznanie. Musi to siłą rzeczy rozniecać narodową dyskusję. Trudno bowiem skorelować dawne czyny podsądnego ze sposobem dzisiejszej ich oceny. Nad tym niezawisłym wyrokiem unoszą się

stężone opary polityczności przyćmiewające parametry osądzania.

Prokuratorsko-sądowniczy dogmatyzm

IPN to placówka o naukowych i zarazem unikatowych prerogatywach, bo tam gdzie do ściany dochodzi tzw. historyk IPN, natychmiast rzuca mu koło ratunkowe przyjaciel- prokurator, również pracownik tego urzędu. Sprawa jest o tyle symptomatyczna w tym tyglu niedorzeczności, że wszyscy oni pozostają w instytucjonalnej wspólnocie z sowitymi uposażeniami, odległymi od ubogich standardów wyrobniczego polskiego rynku pracy. Trudno się więc dziwić, że podejmują tak kontrowersyjne przedsięwzięcia uwiarygodniające istnienie swojej firmy, boć to kura znosząca złote jaja. Problem w tym, że nijak się to ma do obiektywnego opisu tzw. transformacji, w której uczestniczyli zarówno rządzący, jak i tzw. opozycjoniści. Udokumentowanych ich wzajemnych kordialności było wiele (Magdalenka, Zawrat etc.). Taki to był czas. Udało się, ale po latach błogostanu i natchnionych przemyśleń dawni dysydenci, a teraz rządzący doszli do wniosku, że muszą postąpić pryncypialnie i odciąć się od dawnych kompromisowych uzgodnień. Postawili więc drugą stronę transformacyjnych peregrynacji w stan oskarżenia. Niezrozumiała kalkulacja, raczej mściwością znaczona i w nadmiarze akcentująca parasol roztaczany nad nami przez UE oraz NATO. Nasze wnioski z tego płynące są nieporadnie optymistyczne.
Zastanawia jednak łatwość percepcji przez sąd prokuratorskiego aktu oskarżenia. Nie wnikając w szczegóły procedowania, rezultat tych medytacji poraża, mimo że procesowy zasięg sprawy jest zgodny z kodeksowymi artykułami. Formalizm przysłonił realność, a jest to istotny element osądzania ewentualnych sprawców. W tym przypadku waga Temidy została rozchwiana. Pozostał niesmak. Satysfakcji z tego skazania nie odczuwa żadna ze stron, a ofiara zapewne pochyla się nad odwagą współczesnych troglodytów i chyba wyraża ubolewanie, że w tak prozaicznym trybie stał się skazańcem mniej kryminalnym, bardziej politycznym, a takich już miało nie być w żadnej, po PRL, kolejnej RP.
Ważenie losów Rzeczpospolitej w określonych przedziałach jej historii to zadanie daleko wykraczające poza percepcyjne możliwości sądu i prokuratury, bo nie do takich zadań zostały powołane. Zabrakło rzeczowej refleksji. Przeważyła apologetyka dnia dzisiejszego.
Akt oskarżenia, argumenty obrony i sądu, to triada każdej rozprawy. Rola arbitra jest kluczowa, bo merytorycznie promuje proces dochodzenia do materialnej prawdy. Wydaje wyrok w imieniu Najjaśniejszej. Czy w tym przypadku doszło do erupcji poprawnych analitycznych przemyśleń? Z werdyktami sądu ponoć nie powinno się polemizować, ale to tandetna hipokryzja mająca podbudowywać powagę władzy sądowniczej w jej nie zawsze trafnych przemyśleniach. Jeśli polemizujemy z decyzjami parlamentu, to dlaczego mamy powstrzymywać się od analiz sądowych orzeczeń? Natłok różnorakich komentarzy tą wątpliwość potwierdza, bo sublimacja obiektywności jest trudnym procesem, zwłaszcza w kontekście ludzkiej niedoskonałości. Ale inny to już temat.

Osądzanie historii

Wyrok niepowtarzalny, trudny do zrozumienia, także dla wielu znawców prawa. Podziwiać należy determinację składu orzekającego, który podjął się wyrokowania o fragmencie naszej najnowszej historii, już o prokuratorach IPN nie wspominając. To oni przecież stanowili intelektualny zaczyn procesu. Sformułowali akt oskarżenia i skierowali go do sądu, który nie

miał wyboru i musiał do niego się ustosunkować.
Styl reakcji budzi wątpliwości, bo niezawisły zadecydował o rozpoczęciu procesu, a nie proceduralnej rezygnacji z niego. Chodziło o postawienie pod murem określonych osób, które można byłoby obwinić za całe iluzoryczne zło PRL. Tak też się stało. Sięgnięto po najprostsze rozwiązanie i zarzuty postawiono nielicznym, którzy jak najbardziej legalnie i jawnie kierowali tamtym państwem w jego ostatnim rozdaniu. Starali się ratować Rzeczpospolitą przed całkowitą anarchią i bratobójstwem. Co więcej, wspierali ich w tym ówcześni opozycjoniści. W prokuratorsko-sądowej ocenie okazało się, że owi roztropni mężowie, to zwyczajny zorganizowany mafijny gang o charakterze zbrojnym, a na to już jest stosowny artykuł kodeksu karnego (m.in. 258). Z mocy tego przepisu dotąd byli i są tropieni wyłącznie kryminaliści pierwszej wody, a nigdy głowa państwa polskiego czy minister rządu za sam fakt sprawowania władzy. Ten zarzut stał się jednak fundamentem agresywnego aktu oskarżenia.
Trudno zgłębić tajniki umysłów prokuratorsko-sędziowskiego tandemu. Tę ciemność nieco rozjaśnia sugestia wyrokujących, którzy doznali olśnienia i wydalili z siebie to, że jakkolwiek dotąd w orzecznictwie spotykano się z grupami przestępczymi o charakterze mafijnym, to kodeks karny przewiduje też sankcje dla każdego nielegalnego związku przestępczego, niezależnie od tego czy jest się zwykłym obywatelem, czy wysokim funkcjonariuszem państwa. Z tym zarzutem można od biedy się zgodzić, gdyby chodziło o popełnienie przez oskarżonych, a teraz tylko jednego z nich czynów kryminalnych. Poetyka sformułowanych zarzutów jest jednak inna. Zabrakło też wyjaśnienia kto jest tym zwykłym obywatelem, a kto jest wysokim funkcjonariuszem państwa, kto tworzył ową tajną grupę mafijną i co to oznaczało na gruncie ówczesnego systemu prawno-politycznego. Nie zwrócono też uwagi na to, że i w tamtych czasach – dzisiaj tak swobodnie potępianych – obsadzanie wielu stanowisk było warunkowane wygraniem wyborów powszechnych, a więc ważył o tym głos ludu, także po części tego z solidarnościowym duchem.
Wątpliwości jest tak wiele, że wydanie wyroku skazującego bez wyjaśnienia wszystkich wątpliwości to nieuczciwość. Starczy przytoczyć chociażby fakt, iż w samym przygotowywaniu do wprowadzenia stanu wojennego uczestniczyła armia funkcjonariuszy aparatu państwa, tak na szczeblu centralnym, jak i w terenie. Byli wśród nich wspomniani owi wyżsi i zwykli funkcjonariusze publiczni, mniej lub bardziej zorientowani w ostatecznych celach realizowanych przedsięwzięć. Chyba i oni nie doznają spokoju przy rozbuchanych apetytach urzędowych oskarżycieli. To tylko kwestia politycznego zawołania, aby znaleźli się na sali rozpraw.
W tym zawistnym zapale mistrzami pozostają prokuratorzy IPN. Konstrukcja sporządzanych przez nich aktów oskarżenia jest prosta, jak chłopskiego cepa, bo formalnie rzecz biorąc wszyscy, którzy wówczas administrowali określonym segmentem państwa uczestniczyli w zorganizowanej przestępczej grupie. Tym razem pobojowisko wypełnił raptem jeden generał. Nie ugiął się przed odpowiedzialnością, ale na pewno przytłacza go ogrom niezrozumienia dla takiego werdyktu. Kiedyś chyba popełnił błąd w szacowaniu szczerości dawnych partnerów. Dysponowanie bronią przez określone służby państwa nie przesądza o rzekomo ich mafijnym charakterze. Przeznaczenie tych narzędzi jest zupełnie inne. Służy do obrony państwa i ochrony obywateli przed ewentualnymi nieprawościami, a więc tak, jak to ma miejsce w każdym racjonalnie zorganizowanym państwie, a takim była wówczas PRL i takim jest III RP.
Są uzbrojone formacje, którymi ktoś zarządza w imieniu legalnego państwa, ale czy w tych przypadkach można mówić, że to wszystko stanowi konglomerat zbrojnej zorganizowanej tajnej grupy przestępczej? Rozum nie pozwala na twierdzącą odpowiedź.
Oskarżający i sędziowie byli innego zdania. Nie zwrócili uwagi chociażby na to, że tzw. stan

wojenny jest jedną z form legalnego zarządzania państwem i broni się na gruncie realistycznie pojmowanej racji stanu. W tej sprawie już wyrokował Trybunał Konstytucyjny w 2011 roku. Ewentualne formalne uchybienia nie mogą być powodem do pomawiania kogokolwiek o polityczne szalbierstwo tylko dlatego, że sprawował władzę.
W PRL-u egzystowało społeczeństwo, które wzięło na swoje barki powojenną obudowę, a później rozbudowę kraju. Pokonywali przeszkody, także te sprokurowane m.in. przez żołnierzy wyklętych. Państwo to, mimo że administrowane było przez nielegalną sitwę, z czego chyba nie zdawano sobie wówczas sprawy, utrzymywało całkiem poprawne stosunki dyplomatyczne ze światem, funkcjonowały szkoły wszystkich stopni, które zaliczyło wielu, także i tych, którzy dzisiaj sprawują władzę ustawodawczą, wykonawczą oraz sądowniczą. Są to sprawy oczywiste, ale nie dla funkcjonariuszy IPN. Może tutaj wietrzą swój życiowy sukces. Tandetne to rozumowanie.
Patrząc na sprawę bardziej ironicznie dostrzegamy, że ta tajna zbrojna grupa w jakimś momencie weszła w porozumienie z opozycją, a więc z tymi, których rzekomo napiętnowała i nie chciała dopuścić do rządzenia. Nawet poprosiła stolarza o wykonanie mebla pt. Okrągły Stół, przy którym porozmawiali - i ta zorganizowana zbrojna, niebezpieczna mafijna grupa z własnej woli oddała władzę bez żadnego oporu. Symbolicznym aktem kończącym ten proces były demokratyczne wybory, a w istocie czerwcowe referendum. Sytuacja niespotykana, może wzorcowa, a na pewno zaskakująca wielu, także zachodnich wytrawnych demokratów, którzy z trudem uwierzyli w tę metamorfozę komunistycznych władz. A był to szczery gest, bo przecież nikomu nie zależało na utracie niepodległości.
Nowi władcy po latach doszli do wniosku, że w tej transformacji zabrakło tragizmu krwią ociekającego, a to już koliduje z powstańczo-partyzancką i konspiracyjną narodową tradycją. Wymyślono więc ułomny proces karny. Daleko w nim do przelewu krwi, ale moralna egzekucja może być tego namiastką. Dziwi jednak zachowanie postokrągłostołowego establishmentu, że podjął się ukarać tych, z którymi legalnie współpracował, i od których pokojowo przejął władzę. Moralny to problem. Wydaje się, że kryminalizowanie tamtych porozumień jest nieporozumieniem i to chociażby z tej przyczyny, że stan wojenny okazał się bramą dla nowego systemu. Dzisiejsi władcy wystawiają za to faktury, także te imienne, odszkodowawcze, miast wykupywać wystawione wówczas weksle. Okazuje się, że w polskich warunkach, za pokojowy gest zrezygnowania z władzy, można zostać potraktowanym jak przestępca.
Skazano raptem jednego z ministrów tamtych mafijnych rządów, który wprost zabiegał o narodowe porozumienie. Niebezpieczny to ewenement w prokuratorskiej twórczości IPN. Nie zraża ich nawet to, że skazańcy i potencjalni podsądni już dawno temu zapracowali na trwałą pozycje w historii naszego państwa. Każdy kolejny proces będzie wzmacniał ich propaństwową uczciwość i niweczył zamysły oskarżycieli. Kij zawsze ma dwa końce.

Obywatelskie rozterki

Wiedza prokuratorsko-sędziowskiego tandemu wyjaśniającego okoliczności, jakie złożyły się na funkcjonowanie PRL-u, objawiona podczas procesu okazała się nader uboga w obliczu tej, jaką dysponują uczeni - historycy i teoretycy stanów wyjątkowych, np. Carl Schmitt (1888-1985). Powalającym jest włączenie do wyroku skazującego twierdzenia, że Polsce nie groziła zbrojna interwencja. Znane są od dawna opinie z tamtych lat przykładowo prezydentów USA: Jimmy Cartera i Georga Busha, a także premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher. Papież Jan Paweł II również nie odwrócił się od sprawcy stanu wojennego. Geniusz tego sądowego orzeczenia

wymaga więc publicznego obnażenia, a przede wszystkim prawniczej glosy, będącej dialogiem miedzy sądem a doktryną prawa.

Być może, że na długo przed wprowadzeniem stanu wojennego Breżniew chciał ograniczyć pojałtańską strefę wpływów Związku Radzieckiego i pokojowo oddać Zachodowi Polskę, ale wówczas mógłby pojawić się problem granic, także tzw. Kresów Zachodnich. Nadal są to cienkie ryzykowne linie, na których nie wolno uprawiać politycznych gierek. A takie myśli, plotkarskiej natury, bo dokumentów żadnych, pojawiały się na sali rozpraw. Trwający od września 2007 roku proces trafił zaledwie w gusta gawiedzi wyzbytej subtelnej czułości wobec Ojczyzny, która bezrefleksyjnie objawiła niezadowolenie z wyroku i nadal domaga się krwi (bezwzględne więzienie najlepiej dożywotnie, degradacja w stopniu, odebranie odznaczeń, pozbawienie prawa do emerytury itp.). Na reakcje tłumu nie wynaleziono skutecznego antidotum, a więc będziemy poddawani kolejnym natrętnym testom. Igrzyska zapewnione. Zarządzający stan wojenny nie dysponowali innymi przesłankami, niż te, które wskazywały na możliwość zewnętrznej interwencji podobne do tej z lat 1956 i 1968. Reakcja bowiem dopiero na już rozpoczętą zewnętrzną interwencję, to pomysł rodem z politycznej fikcji i recepta na tragedię. Natomiast uprzedzenie takiej sytuacji, to strategiczne abecadło rządzących każdym państwem. I w takim kontekście należałoby analizować wprowadzenie stanu wojennego.

***

Wracając do procesu należałoby się zastanowić nad zasadnością podejmowania oceny historii przez IPN-owską prokuraturę i sądy. Warto, aby nad argumentami przemawiającymi za- i przeciw skazaniu, pochylili się historycy a nie prokuratorzy. Sprawa nie jest błaha, bo podobnych zadęć było bez liku i niemal wszystkie ośmieszały IPN. Zastępowanie uczonych prokuratorami, to zuchwały zamysł. Czekać aż nasi sądownicy podejmą się wyrokowania w sprawach II RP, w tym klasycznego majowego zamachu z 1926 roku.
Sama koncepcja oskarżenia jest szalona. W ten sposób można przecież potraktować każdego wspólnika ekipy zarządzającej w jakimkolwiek czasie i miejscu. Będzie to wówczas zwyczajna sądowa zemsta, jak trafnie dostrzegł prof. B. Łagowski. Żywić wszak należy nadzieję, że praktyka prokuratorów IPN oraz przychylnych im sądów dobiegnie wreszcie końca, bo niewiele to ma wspólnego ze sprawiedliwością i demokracją. Może wreszcie i Sojusz Lewicy Demokratycznej (SLD) będzie w tym punkcie stanowczy przynajmniej w takim odbiciu, jak antagoniści. Okazuje się, że wojna i układność, to ekskluzywny polityczny poligon, ale dla wytrawnych graczy. Lewicowcy chyba też dysponują dyplomatyczno-misyjnymi przesłaniami?

Janina Łagoda